

Z urodzenia żołnierz

7 września 2009

– W mojej charakterystyce bojowej napisano „Lubi dowodzić z przodu”. Choć to negatywne określenie dla dowódcy, byłem z niego bardzo szczęśliwy. Wychowałem się w Warszawie, ale jak wybuchła wojna, pracowałem w Rzeszowie, w Centralnym Okręgu Przemysłowym. Kiedy Niemcy zaczęli zbliżać się do Krakowa, dykcja zakładów postanowiła otworzyć zakłady naprawcze po drugiej stronie Bugu. Zanim dotarliśmy na miejsce, doszliśmy do Kowla, gdzie 17 września uderzyli Rosjanie.

O zakładaniu jakichkolwiek zakładów nie mogło być mowy. Musieliśmy zawracać. Z jednym z kolegów postanowiliśmy dostać się na piechotę do Warszawy. W listopadzie 1939 roku znaleźliśmy się w stolicy – wspomina pan Stanisław Berkiet. – W Warszawie rozpocząłem życie pod okupacją niemiecką. Nie mogłem się z tym pogodzić. W stolicy odnaleźli mnie koledzy z 8 Warszawskiej Drużyny Harcerzy, do której należałem przed wojną i wciągnęli mnie do Związku Walki Zbrojnej. Z ramienia ZWZ roznosiłem pismo podziemne „Szaniec”. Przesiedziałem w Warszawie do kwietnia 1940 roku, ale już miałem wszystkiego dość. Jestem żołnierzem z zasady i urodzenia. Chciałem walczyć. Postanowiłem, że przedostanę się do Wojska Polskiego, które było internowane na Węgrzech i w Rumunii. Do wyprawy przekonałem swojego kolegę – „Uda nam się albo nie uda, będziemy próbowali”. Umówiliśmy się, że weźmiemy po 250 zł ze sobą i z tym dotrzemy do wojska. W tym momencie rozpoczęła się nasza życiowa przygoda.

„VIA WĘGRY”

– Zaplanowaliśmy, że granicę między Sowietami a Niemcami, przekroczymy na rzece San. W tym celu udaliśmy się pociągiem do Przemyśla. W tamtym okresie przedziały były pełne ludzi. Najwięcej było handlarek. Siedziała z nami również jedna pani. Była z nią kilkuletnia dziewczynka, którą uczyła czytać po

angielsku. Jak przekupki opuściły pociąg, ta pani napisała na kartce „via Węgry”. Zaprotestowaliśmy, bo znajomość angielskiego mogła wskazywać na to, że jest Niemką. Jej płynna polszczyzna rozwiązała wszelkie wątpliwości. Była Polką, metodystką, mieszkającą w Nowym Jorku, która przyjechała z córką na wypoczynek do Zakopanego. Powiedziała do nas: „Jedźcie ze mną, dam wam przewodników, przeprowadzą was”. Ponieważ byłem z zasady uparty, nie zgodziłem się. Powiedziałem, że płyniemy przez rzekę San. Była zdziwiona „O tej porze, w kwietniu?”. Wiedziała więcej na ten temat niż my. Powiedziała nam jeszcze, że w Przemyśle mieszkają metodyści i oni nam pomogą. I tak też się stało. Dzięki temu dowiedzieliśmy się, gdzie i jak przechodzić przez rzekę. W końcu przeszliśmy ją w bród, czasami zmuszeni do płynięcia. Tak jak wtedy zmarłem, to nie zmarłem nigdzie później, nawet w łagrach sowieckich. I tutaj pojawia się inna, ważna historia, która zaważyła na naszych dalszych losach: w czasie wyprawy miałem na sobie kurtkę skórzaną i ciężkie buty. Jako harcerz, często jeździłem na wypady w Karpaty, wiedziałem jak się ubrać. Mój towarzysz ubrał się inaczej niż ja – elegancko, w czarną jesionkę. Śmiałem się, że nie wziął białego szalika. Po wyjściu z rzeki, musieliśmy przejść czworobok drutów, pokrzyżowany w środku, powyżej dwóch metrów wysokości. Zeskoczyłem i pobiegłem do przodu, a kolega nieszczęśliwie zawisł na swojej jesionce. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, że on wisi na drutach. Sytuacja była niebezpieczna, bo podobno, co 100 metrów maszerował strażnik graniczny. Jednak żadnego strażnika nie widziałem. Biegiem zawróciłem i pociągnąłem go na dół. Spory kawałek jego jesionki został na drutach. Później ten kawał oddartego płaszcza uratował nam życie. Dzięki niemu udowodniłem, że nie byliśmy szpiegami.

JAK UDOWODNIŁEM, ŻE NIE BYLIŚMY SZPIEGAMI

– Po przejściu rzeki San wyruszyliśmy w dalszą drogę. Próbowaliśmy przekroczyć granicę w ławocznym, w Różance, Skole

i w kilku innych miejscach, ale nie udało się. Zdecydowaliśmy się pojechać do Zakopanego, do naszej rozmówczyni z pociągu. To nie było łatwe, przede wszystkim skończyły nam się pieniądze. Wróciliśmy więc do Przemyśla. Podano nam miejsce, gdzie możemy przejść granicę. Ale nikt nie powiedział nam, że tam najbardziej łapią. I tak wpadliśmy. Potem więzienie w Przemyśle, później w Starobielsku. W sumie na przesłuchaniach spędziłem dziewięć miesięcy. Nasza sytuacja wyglądała niewyraźnie, bo cały czas brali nas za szpiegów. Wreszcie na ostatniej rozprawie, kiedy mieli wydać wyrok, powiedziałem: „Jeżeli wszystko wiecie, to powiedzcie czy znaleźliście na przejściu w Przemyśle, kawał czarnego płaszcza mojego kolegi.” Przecież żaden szpieg nie przekracza w taki sposób granicy! Spytały się, czy mówię prawdę. Powiedziałem, „tak” i poszli sprawdzić. Po kilku minutach wrócili i potwierdzili moją wersję wydarzeń. To był koniec przesłuchiwań. Wyrok: 5 lat ciężkich robót. W grudniu 1940 roku zostałem wywieziony do Kotłasu i następne 9 miesięcy spędziłem w sowieckich łagrach.

ROSJA

– Z łagrów zwolniono nas we wrześniu 1941 roku. Wywieziono nas do Farabu położonego nad rzeką Amu Daryą w Kazachstanie. Nie wiadomo było, co z nami zrobią – przecież jechaliśmy do wojska? Pewnego dnia przyjechał wysłannik ambasadora Kota z Moskwy. Od razu wyczuliśmy, co to za osoba. W swojej wielkiej przemowie do nas, podkreślił, że musimy pomóc naszym przyjaciom Rosjanom. Jednym słowem, zamiast wstąpić do wojska, pojechać do kołchozów pracować. Wraz z porucznikiem Leligdowiczem i innym kolegą uciekliśmy z łodzi, które miały nas rozwozić do kołchozów. Skoczyliśmy do wody i wpław dostaliśmy się do miasta Qarszi w Uzbekistanie. Mieliśmy ze sobą zaświadczenie, że jesteśmy zwolnieni z łagrów, tylko z pracą były problemy, nie można było jej dostać. Uparliśmy się jednak i znaleźliśmy zajęcie. Udało nam się przeżyć parę miesięcy. Aż w końcu spotkaliśmy kapitana Bielasika, który powiedział, że organizuje przewóz kolejowy (eszelon), który

przetransportuje nas do wojska. Nic z tego nie wyszło, ponieważ Rosjanie jak zwykle złamali przyrzeczenie i skierowali nas do kołchozów. Musieliśmy zacząć działać sami. Kapitan Bielasik powiedział nam wtedy, że ma także polecenie utworzenia biura Męża Zaufania. Poprosił mnie i jeszcze jednego kolegę, żebyśmy pojechali z nim aż do Ałma Aty, ówczesnej stolicy Kazachstanu. To było 800 km od miejsca, gdzie byliśmy. Nie mieliśmy czym zapłacić za transport, a to już była zima. Zdecydowaliśmy się pojechać do Ałma Aty na buforach pociągu. Trafiliśmy do księcia Lwa Sapiehy, który mieszkał w hotelu Czerwona Gwiazda w Ałma Acie. Jako przedstawiciel dyplomatyczny władz polskich mianował kapitana Bielasika Mężem Zaufania w miejscowości Nowotrojsk w Kazachstanie. Tam założyliśmy placówkę. Boże Narodzenie 1941 roku spędziliśmy w Nowotrojsku jako przedstawiciele polskiej dyplomacji. Do marca 1942 roku zdążyliśmy rozwinąć placówkę i założyć polski sierociniec. W tym czasie poczułem, że mam już dość dyplomacji. W marcu 1942 roku wstąpiłem do wojska w Ługowaji.

TURYSTYCZNA ARMIA

– W Guzar u podnóża Himalai dostałem przydział do specjalnego batalionu spadochronowego zwanego batalionem „S”, który generał Anders miał do swojej dyspozycji. Dowódcą batalionu był ulubieniec generała, rotmistrz Zbigniew Kiedacz, znany w całym korpusie ze swojego zamiłowania do dyscypliny. Z Guzar zostałem przesłany do Jangijulu w Uzbekistanie. Tam stacjonował sztab główny wraz z 12 Pułkiem Ułanów i baonem „S”. Na miejscu otrzymaliśmy bardzo dobre wyszkolenie wojskowe i przeszliśmy ćwiczenia w tzw. „małpim gaju”. Naprawdę ciężka gimnastyka. Z Jangijulu wyjechaliśmy do Persji, z Persji do Iraku. W Iraku rozkazem generała Andersa staliśmy się kawalerią. Generał Anders był pierwszym dowódcą 15 Pułku Ułanów Poznańskich, w którym również służył rotmistrz Kiedacz. Po przekształceniu w kawalerię nawet przechodziliśmy musztrę ułańską – bez koni. Tylko tak dla zapoznania. Wesoło było, z

humorem – opowiada pan Stanisław. – Z Iraku pojechaliście do Włoch? – Jeszcze nie, to była turystyczna armia jak nas Niemcy nazywali. Z Iraku wysłali mnie do szkoły podchorążych kawalerii i broni pancernej w Gederze (Palestyna). Po przeszkoleniu przetransportowano nas do Egiptu, skąd w marcu 1944 roku znaleźliśmy się w Taranto, we Włoszech.

KOSZTOWNE ZWYCIĘSTWO

– Podchorążowie, którzy ukończyli szkołę z bardzo dobrym wynikiem, po powrocie do pułku, otrzymali awans na podchorążych plutonowych i stanowiska oficerskie jako zastępcy dowódców plutonów – tych było dwóch. Zostałem zastępcą dowódcy trzeciego plutonu w czwartym szwadronie 15 Pułku. Po krótkich walkach w rejonie górskim (Capracotta), pod koniec kwietnia 1944 roku, wyruszyliśmy w kierunku Monte Cassino. Mój dowódca Cezary Bujalski, jeszcze przed rozpoczęciem walk, został ranny w wyniku wybuchu granatu. Automatycznie zostałem dowódcą plutonu. Byliśmy tzw. pułkiem rozpoznawczym, dla 5 Kresowej Dywizji Piechoty. 3-4 maja znaleźliśmy się na stanowiskach. Doczekaliśmy na naszych pozycjach do 11 maja, kiedy rozpoczął się pierwszy atak. Nasz 15 Pułk Ułanów był na prawym skrzydle 5 Kresowej Dywizji Piechoty. Podczas różnych akcji patrolowych miałem za zadanie zdobycie tzw. kamieniołomów w rejonie Castellone. Udało się. Niemcy uciekli wcześniej, nie musiałem z nikim walczyć – wspomina pan Stanisław. – Jak zdobyliśmy kamieniołomy, Niemcy położyli na nas straszny ogień. Proszę sobie wyobrazić, jest pani w jamie, odłamki świszczą dookoła. Przyłgnęliśmy do kamieni, tak mocno jak tylko można było. Zrządzeniem opatrzości nic nam się nie stało – wspomina pan Stanisław. – Niestety, jak wracaliśmy z kamieniołomów, zginęło 12 żołnierzy, kilku z nich z mojego patrolu. Miałem szczęście, nie zostałem ranny. Ani wtedy, ani później. Miałem tylko lekkie oparzenie od odłamka. Całe Monte Cassino to była kwestia paru dni, ale zginęło mnóstwo ludzi, nie tylko podczas walk. Niemcy strzelali bez przerwy, był ciągły ogień. Mam kolegę z 5 Kresowej Dywizji Piechoty, który stracił dwóch

braci pod Monte Cassino. To była wojna. „Nie miałeś bracie w czym wybierać, gdyś hełm na bakier zsunął z czoła. Rozkaz był, trwać! albo nacierać!” – do dzisiaj nikt go nie odwołał. – „Nie miałeś bracie w czym wybierać, gdy śmierć stanęła między wami. Tyś nie zalegał, tyś nacierał, wziąłeś ten rozkaz jak sakrament”. – Fragment wiersza Edwarda Chudzyńskiego, to było nasze żołnierskie motto – wspomina pan Stanisław. – Monte Cassino to był taki przełomowy moment, kiedy Niemcy zrozumieli, że polska armia to nie jest armia turystyczna. To jest taka armia, która potrafi się bić. W końcu przegrali z nami. Inne wojska dbały o siebie. Polacy chcieli wygrać za wszelką cenę i wygrali.

Notowała: Paulina Gotfryd

Źródło: [eLondyn](#)

NOTA BIOGRAFICZNA

Stanisław Berkieta – urodzony w 1919 roku w Promnie, dorastał w Warszawie. Zastępca dowódcy 3 plutonu w 4 szwadronie 15 Pułku Ułanów Poznańskich. Odznaczony m. in. Krzyżem Walecznych i Krzyżem Monte Cassino. W Anglii od 1946 roku.